Rok 1901. Lwów, 26. Maja Nr. 20.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów – Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA	DROBNE OGŁOSZENIA	ZAŁĄCZNIKI
w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.	po 3 halerze od wyrazu.	do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 26. maja. Nr. 20.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 20:

W poszukiwaniu karyery.

Od dłuższego już czasu dają się u nas obserwować pewne, mniej lub więcej długotrwałe przesilenia, w podaży płacy t. zw. inteligencyi. Mieliśmy jakiś czas wielu lekarzy bez pacyentów, później przyszła kolej na inżynierów kolejowych, z których część przymierała z głodu, pamiętamy też ciężkie chwile adeptów prawa, narzekających na zupełny brak klienteli, a obecnie mówią o losie zawistnym wielu młodych techników, a zwłaszcza chemików, którzy po latach kilku od skończenia studyów nie mogą znaleźć zajęcia w żadnej z licznych u nas gałęzi przemysłu

Fakta te wywołały nawet przekonanie o powstaniu u nas najgroźniejszego wroga życia społecznego: proletaryatu inteligencyi. Po bliższem rozejrzeniu się w stosunkach okazało się, iż to przerażające widmo jest od nas jeszcze bardzo daleko, że przesilenia są tylko miejscowe, że gdy lekarze nie wiedzą co zrobić z czasem w Warszawie, prowincya jęczy pod dorażnemi skutkami leków przeróżnego rodzaju felczerów, znachorów, i owczarzy, strzygących pacyentów lepiej niż owce; że gdy prawnikom po miastach brakło klientów, po zakątkach naszych rozpanoszyli się niepowołani doradcy, tucząc się krzywdą wprowadzonych w błąd a zamiłowanych w pieniactwie mieszkańców wsi i miasteczek; wczasowych inżynierów pochłonął w jednej chwili wir nowobudowanych kolejek i instalacyi kanalizacyjnych, a na różnych polach pracy ujawnił się powoli brak, niekiedy bardzo dotkliwy, pracowników fachowych, wyspecyalizowanych i innych, dających się zużytkować z powodzeniem na stanowiskach wymagających pewnej samodzielności. Słowem, przypuszczenia o powstawaniu u nas nadmiaru inteligencyi okazały się z gruntu fałszywe.

Zkądże więc te ciągłe strachy o marniejących bezużytecznie zasobach z trudem i wszelkim nakładem zdobytego światła i wiedzy specyalnej? Zkądże to rozgoryczenie słuszne czy niesłuszne, zkąd ów zastęp zawiedzionych, pozbawionych możności zużytkowania zasobów zdobytej wiedzy w społeczeństwie w którem liczne pola pracy spoczywają odłogiem?

Wszystkich przyczyn tego zjawiska wskazać w pobieżnym artykule niepodobna. Zwrócimy uwagę tylko na główniejszą z nich, a stojącą w styczności bezpośredniej z chwilą obecną, kiedy to zbliża się koniec roku szkolnego, a wraz z nim powstaje okolicznościowo zagadnienie, trapiące zarówno młodzież, jako też jej kierowników najbliższych: rodziców i opiekunów, zagadnienie co do kierunku dalszych studyów specyalnych, co do wyboru zawodu, w którym w przyszłości pracować mają.

Otóż zdaniem naszem, błąd tu tkwi: 1) w traktowaniu „okolicznościowem“ zagadnienia, które dla rodziców powstawać winno z chwilą, gdy dziecko przychodzi do rozumu i objawia pewne skłonności, i, 2) w przyjętym dość powszechnie, a wadliwym w założeniu systemie oryentowania się co do wyboru zawodu wysuwającym na plan pierwszy widoki „karyery“, czyli pozyskania w jak najkrótszym czasie przy jaknajmniejszem napięciu sił, zyskownego czy wpływowego stanowiska, z usuwaniem zaś na plan drugi, lub zupełnem zapoznawaniem, skłonności wrodzonych, zadatków powołania, który każdy człowiek w swej duszy nosi. Zamiast obserwować pilnie, dla czego dziecko czy młodzieniec objawia szczególne upodobanie, co mu przychodzi z łatwością, a w ten sposób zadecydować o drodze na której ma pracować, my wypytujemy pilnie co popłaca najlepiej, jaki rodzaj pracy daje największe korzyści, w której branży są najwyżej płatne stanowiska!

A gdy tylko te kombinacye ma się na względzie w wyborze zawodu, zawsze one narazić mogą osobnika na zawód i społeczeństwo — na skutki przesileń, w nadmiernej podaży pracy. Żadne bowiem pokolenie nie zastaje gotowych pól pracy i stanowisk niezawodnych. Nie różne potrzeby ustalone oczekują współudziału naszego w ich zaspokojeniu, lecz my sami je stwarzamy, w miarę tego, jak one w nas kiełkują, rozwijają się i dojrzewają, powołując do życia nowe, wciąż nowe gałęzie wytwórczości, otwierając nowe pola i dziedziny pracy. Potrzeby z nas płyną, w sobie więc a nie na zewnątrz winniśmy szukać sposobów ich zaspakajania, w sobie odgadywać powołanie i zgodnie z nim iść w świat z wiarą, że to nie tylko najlepsza ale nawet jedyna droga uzyskania sławy, wpływu czy pieniędzy, do zrobienia t. zw. „karyery“.

Z. M.

Dr. Tchórznicki.

ALKOHOL i choroby dróg oddechowych.

Plaga ludzkości — owa najstraszniejsza choroba gruźlicą zwana, przestała być nieuleczalną. Zawdzięczyć to należy kilkudziesięcioletniej pracy lekarzy. System racyonalnego hygieniczno-dyetycznego leczenia odniósł względne zwycięztwo; ulecza on bowiem, na krótszy lub dłuższy czas, a nawet zupełnie, chorych dotkniętych suchotami. Metoda ta była pierwotnie przystępna dla ludzi bardzo zamożnych; z biegiem czasu jednak okazało się, że mniej zamożni także z niej korzystać mogą Przekonano się również, że nietylko w sanatoryach położonych w górach, w wyjątkowym klimacie, osiągnąć można pomyślne rezultaty, lecz że wszędzie, byle w miejscowościach zdrowych zakładane sanatorya, nie ustępują górskim. W ten sposób leczenie gruźlicy stało się przystępnem nawet dla uboższych, między którymi zawsze największą liczbę ofiar ta choroba pochłaniała i pochłania.

Pocieszające te prawdy stwierdza w źródłowej swej pracy pod tytułem: „*Alkohol w Etyologii i Terapii chorób oddechowych*“ dr. med. Alfred Sokołowski.

W Niemczech sprawa ta wywołała wielką ofiarność ze strony społeczeństwa, a obecnie nawet najubożsi korzystać tam mogą z dobroczynnego wpływu sanatoryów. U nas, wystąpienie dra Dunina wywarło na opinię publiczną bardzo pomyślne wrażenie i jest nadzieja, że z pomocą zawsze gotowego do ofiar społeczeństwa, wkrótce podobne uzdrawiające tanie zakłady i u nas staną.

Słusznie wszelako mówi dr. Sokołowski, że sanatorya jednostronnie tylko dopomagają do uzdrowienia chorych, a głównym czynnikiem jest zapobieganie rozwojowi tej strasznej choroby, której źródło doświadczeni lekarze znajdują nietylko w laseczniku Kocha. Na powstawanie suchot wiele warunków wpływa: dziedziczność, złe warunki hygieniczne, wyczerpanie fizyczne ustroju, cierpienia moralne, nadużycia i t. p. Odpieranie tych szkodliwych czynników jest główną podstawą leczenia; a chcąc prowadzić skuteczną walkę z tak silnym nieprzyjacielem zdrowia, nie dość ofiar prywatnych: potrzeba pomocy całego społeczeństwa i rządów dla dostarczenia olbrzymich funduszów na budowanie zdrowych i tanich mieszkań, na dobre pożywienie i t. d.

Najsilniejszym czynnikiem, sprzyjającym rozwojowi gruźlicy jest zbyteczne używanie napojów spirytusowyyh. Alkoholizm bezpośrednio i pośrednio pracuje nad wyniszczeniem organizmu człowieka: bezpośrednio — bo pozbawia go odporności na wszelkie chorobliwe zjawiska, szczególnie zaś choroby płucne; pośrednio — przez zubożenie materyalne nie dozwalające mu odżywiać się zdrowo i żyć względnie dobrze. Pijak, tracąc codziennie zarobek na wódkę, nie może posiadać dostatecznego funduszu na utrzymanie domu; stąd nietylko on, ale i cała rodzina marnie się żywi, zajmuje wilgotne liche mieszkanie i t. d. Powoli do domu jego zakrada się nędza, oddziaływująca niekorzystnie na całe otoczenie; blade, chude dzieciaki, przygnębiona, płacząca kobieta, oto obrazy codzienne, wśród których cała rodzina stopniowo sposobi się na ofiary gruźlicy.

W klasach wyższych, gdzie nie wchodzą w grę wspomniane względy antihygieniczne, używanie alkoholu również szkodliwe wywiera skutki, wywołując zaburzenia dróg oddechowych, katary krtani, zapalenia w różnych formach i osłabienie serca, co wytwarza podatny grunt do rozwoju gruźlicy.

(Dokończenie nastąpi).

K. Wr.

KTO TO?

Powiem państwu otwarcie, że nie lubię tak zwanych „panów“. Nie zrobili mi nigdy nic złego, a przecie ich nie lubię. Takie to jakieś zimne, sztywne, sobą tylko zajęte... Czuję przez skórę, że taki „pan“ patrzy na mnie w ten sposób, w jaki ja— z bryczki — patrzę na wierzbę koło mostku, albo na płot koło przydróżnej chałupy.

Wierzba — zwyczajnie wierzba; płot jak płot: kołki i chrust; patrzy się na to i nie widzi; przejedzie się koło tego — i nie wie się nawet, że to stało.

Kiedy taki szlachcic jak ja spotka drugiego szlachcica, choćby obaj byli z dwóch końców świata—ten z pod Suwałk, a tamten z pod Staszowa, — zaraz im się języki rozwiążą, jeden drugiemu rad i tak im jest niby — jakgdyby jakieś między nimi znalazło się pokrewieństwo. Dawnymi czasy takich dwóch zaraz się częstowało butelczyną i już jeden o drugim do śmierci pamiętał. Dzisiaj o butelczynie nie ma gadania, bo humor wyłysiał i kieszenie wywietrzały; na pamiętanie do śmierci też nie ma co liczyć, bo pod czapką tylko pamięć o kłopotach siedzi; ale się przecie szlachta poczęstuje życzliwością i dobrem słowem.

A niechno zwykły brat-szlachcic spotka się gdzie z „panem“, z prawdziwym czy fabrykowanym — wszystko jedno, żeby go wszelkimi sposobami naokoło obchodził, nie zobaczy w nim tego, czego szukał. Jeżeli ci taki „pan“ zechce gadać, to nie wiesz: czy on do siebie gada, czy do ciebie. Wydaje ci się, że to jakiś człowiek z dalekich krajów: może Duńczyk, może Portugalczyk, który się dziwi, że ciebie spotkał, bo kogo innego wyglądał i który nie może sobie pomiarkować — jakim sposobem rozumie pojedyńcze słowa z twego gadania.

Między tobą a nim nic nie ma wspólnego. Jaka taka wspólność zawsze się odczuwa, a tu właśnie odczuwa się brak takich nici, któreby, jeżeliby nie zeszyć, to choć na krótko sfastrygować was mogły.

Gadasz z takim „panem“, gadasz i w końcu jakoś ci się głupio robi, bo widzisz, że on na ciebie patrzy, jak na kołek w płocie.

Mówiłem i powtarzam, że takich arystokratów nie lubię.

— Nie lubisz pan, a przecie ich pan szukasz! — powiada do mnie kiedyś Śliwkiewicz.

Puściłem to mimo uszu... Nic mądrego nie powiedział! Śliwkiewicz, dzierżawca z Wólki, nazywa mnie „wielkim panem“ i „arystokratą“ z tego powodu, żeśmy z żoną nie śpieszyli się z odwiedzinami do Wólki, po wizycie Śliwkiewicza, i żeśmy ich nie zaprosili na pierwsze zaraz u nas zebranie. To trudno! Jego siostra poszła za aptekarza; jej siostra jest za jakimś urzędnikiem... Przepraszam, ale jeżeli my będziemy w Wólce tych wszystkich ludzi spotykali, a następnie oni wszyscy do nas będą mieli sposobność zjechać na zebranie, to się zrobi kompot taki, że — ani zjeść, ani wylać.

Przecie niepodobna, abyśmy z całem sąsiedztwem żyli!

Oprócz Śliwkiewiczów są jeszcze tacy Biszkopcińscy: on — syn jakiegoś dorobkiewicza z Warszawy, ona — podobno z pow. mławskiego — co za jedna — niewiadomo; kupili folwark, kilkanaście włók, żydy mówią, że tam koło nich nawet porządnie, ale dopasowywać się do nich nie mam ochoty... Albo i tacy Pętelscy: bieda u nich z dziada pradziada, dzieciaków kupa, dobrzy ludzi, rodzice się nasi niegdyś znali — ale nam trudno byłoby żyć bliżej... Choćby i tacy Kruchcińscy i ci, z Rudki, Torbielscy - wszystko to nie są ludzie do towarzystwa!

Wiem doskonale, że i ci i tamci mają do mojej żony i do mnie pretensyę, że się od nich usuwamy. No, cóż na to poradzić?

Pętelski, cięta sztuka, kiedy o mnie była mowa, w ten sposób do księdza dziekana się wyraził:

— Pudełkowski — powiada — czuje się demokratą wtedy, kiedy ze swoim pachciarzem gada; w stosunkach zaś z sąsiadami gra w wielko-pańskie dudy.

Dziwię się dziekanowi, że mi to powtórzył, a jeszcze więcej mnie dziwi, że dodał od siebie:

— Niech pan nie bierze tego za złe Pętelskiemu; ubogi to człowiek, ale przecie i niegłupi, i uczciwy; może mu być przykro, żeś pan wydzierżawił polowanie dokoła, a jego nigdy nie zaprosił...

Powiedźcie państwo sami: co mogą być warte takie pretensye?

Na polowaniu, u mnie, są zawsze: hrabia Paweł i hrabia Poluś, radca Adam i radca Teodor, sędzia — słowem, rozumiecie państwo — inne towarzystwo... jakby to wyglądało, gdybym zebrał do kompanii Pętelskiego i Śliwkiewicza i wszystkich innych?

Równość — bardzo dobra; poszanowanie pracy — owszem; ale każda rzecz musi mieć swoje granice. Nie mogę na żaden sposób zgodzić się na to, żeby mi pisarze prowentowi pozajmowali w kościele pierwsze ławki, a ja żebym z żoną pod organy szedł.

Bardzo szanuję Pętelskiego; przyznaję, że Śliwkiewicz, i aptekarz, i Kruchciński— są może bardzo godni ludzie, ale ja nie mam im nic do powiedzenia i nie jestem ciekawy tego, co oni mogliby mnie powiedzieć, więc nie widzę racyi utrzymywania z nimi stosunków.

Nie wiem, czy kto z państwa zauważył: jak hrabia Paweł jest w ostatnich czasach grzeczny dla mnie i dla mojej żony. Zdaje mi się, że i hrabia Poluś trochę spuścił z tonu, bo jest o wiele uważniejszy. Kiedy byli u nas ostatnim razem, po polowaniu, hrabia Poluś nie chciał usiąść na sofie, ale ją odstąpił radcy i sędziemu, a sam wyciągnął się na fotelu, w rogu pokoju. Bardzo mu to wszyscy mają za dobre.

Kiedy ci wielcy panowie przenieśli się tu, do Górowa, po śmierci starej księżny, nie znali nikogo z sąsiedztwa i zdawało się, że znać nie będą chcieli.

Graniczę z Górowem, więc czasami to starego, to młodego zdaleka na polu, konno jadącego, widziałem; spotykałem ich też kiedy niekiedy w kościele. Kłanialiśmy się sobie, bom z nimi dwa razy zeszedł się w towarzystwie: raz u prezesa, ale to już bardzo dawno było, a drugi raz niegdyś u księdza biskupa. Zaraz pierwszej niedzieli po objęciu przez nich Górowa, po mszy, zaczepiłem ich przy wyjściu z kościoła i przypominając znajomość, złożyłem życzenia wszelkich pomyślności na nowem gospodarstwie. Wysłuchali: podziękował stary, młody coś też bąknął, ale przyjęli to tak, jakby się z mojej strony ta grzeczność należała — wsiedli do powozu — i pojechali.

Ubość mnie takie zachowanie się ich— nie ubodło, bo mnie zupełnie o nich nie szło i nie chodzi. Ja zrobiłem, com uważał za słuszne — okazałem sąsiedzką życzliwość; wyście na to po wielko-pańsku, jak to mówią: ni trem, ni bzdrem odpowiedzieli, nie będę was zaczepiał.

Co mnie, szlachcicowi, od „pańskich“ progów?! Podskakiwać -- nie moja rzecz i nie moja natura.

Spotykaliśmy się później znowu w polu, najczęściej na drodze granicznej, albo przy lesie. Zobaczyłem, że jadą — jechałem i ja przekonać się, co też oni tam robią?

Sprowadzili nową żniwiarkę — poszedłem obejrzeć; kupili jakiś siewnik — też poszedłem przypatrzyć się. Hr. Paweł objaśniał potrosze i rozstawaliśmy się.

Przejeżdżałem kilkanaście razy przez górowskie gumno, żeby drogi skrócić i ominąć straszne błoto pod ogrodem, ale prawdę mówiąc, więcej z ciekawości, żeby zajrzeć: jaki też to mają koło budynków porządek. Akuratnie kiedyś hrabiego spotkałem na gumnie. Wypadało wysiąść z bryczki i przeprosić, że tak, po sąsiedzku, drogę sobie skrócam. Bardzo grzecznie się znalazł, pozwolił przejeżdżać, a kiedym chwalił przerobienie stajni, zaproponował obejrzenie jej w środku. Pokazał konie i później owczarnię.

Myślę sobie: czy też zaprosi na śniadanie? Nie zaprosił.

Ano nic; ja tam na wielko-pańskie śniadania nie łakomy. Jeżeli mi przez myśl to przeszło, to tylko dla tego, że chodziło mi o jeden dowód więcej: jak „pański" obyczaj do naszego szlacheckiego nie podobny.

Później — na twardej jesieni — zabiłem tęgiego dzika. Zachciało mi się sąsiedzką grzeczność okazać: odesłałem dzika do Górowa, przy liście, w którym napisałem, że zwierzyna prawdopodobnie z lasu hrabiego wyszła, więc jej nie zatrzymuję.

Odpisał rządca w imieniu nieobecnego hrabiego — piękne podziękowanie na wielkim arkuszu papieru z pompatycznym nagłówkiem: Administracya dóbr" itd.

Pytam się fornala o to, o owo, okazuje się, że hr. Poluś był w domu... Więc mu się pisać nie chciało!

I proszę powiedzieć: jaka też to dziwna ta „pańska" grzeczność!

Przyznam się, że ta korespondencya rządcy trochę mnie ukłóła; żona okropnie się zgniewała na mnie, bo jej i dzika było żal i oburzyło ją takie — jak się wyraziła — lekceważenie, alem ją przekonał, że od wielkich panów niczego innego nie można się spodziewać i wytłumaczyłem, że bynajmniej nie powinno nam chodzić o zbliżenie się do nich.

Później — w zimie, Śliwkiewicz kupił u mnie kilka kóp trzciny; dowiedział się o tem rządca z Górowa i też przysłał po trzcinę. Dałem tyle, ile chciał, a pieniędzy nie wziąłem Napisałem: sąsiedzka rzecz. Myślę sobie: niech wiedzą, co to sąsiedzka uczynność.

Nareszcie w lipcu, zeszłego roku, przychodzi grad i łupi całego Pętalskiego, przez połowę bije Śliwkiewicza i tłucze folwark górowski — Kępę. Do siewu Śliwkiewiczowi sędzia coś ze zboża pożyczył! Pętelskiemu sąsiedzi zsypali sporo, tak, że kiedym go przed kościołem zaczepił: coby mu posłać? odpowiedział, że dziękuje, bo ma wszystkiego dosyć.

Ja kazałem odczyścić, co się zowie, pięćdziesiąt korcy pszenicy... na furmanki... i przy krótkim liście posłałem do Górowa.

Furmanki pszenicę oddały i wróciły bez żadnej kartki...

Ale, czekajcie państwo, nie było grzechu, bo ledwiem z gumna wrócił od fornali, widzę — sypie ktoś gościńcem wyciągniętego kłusa — przeleciał przez wieś, wali w bramę... Wychodzę na ganek: z maleńkiego powoziku wysiadają — hrabia Paweł i Poluś...

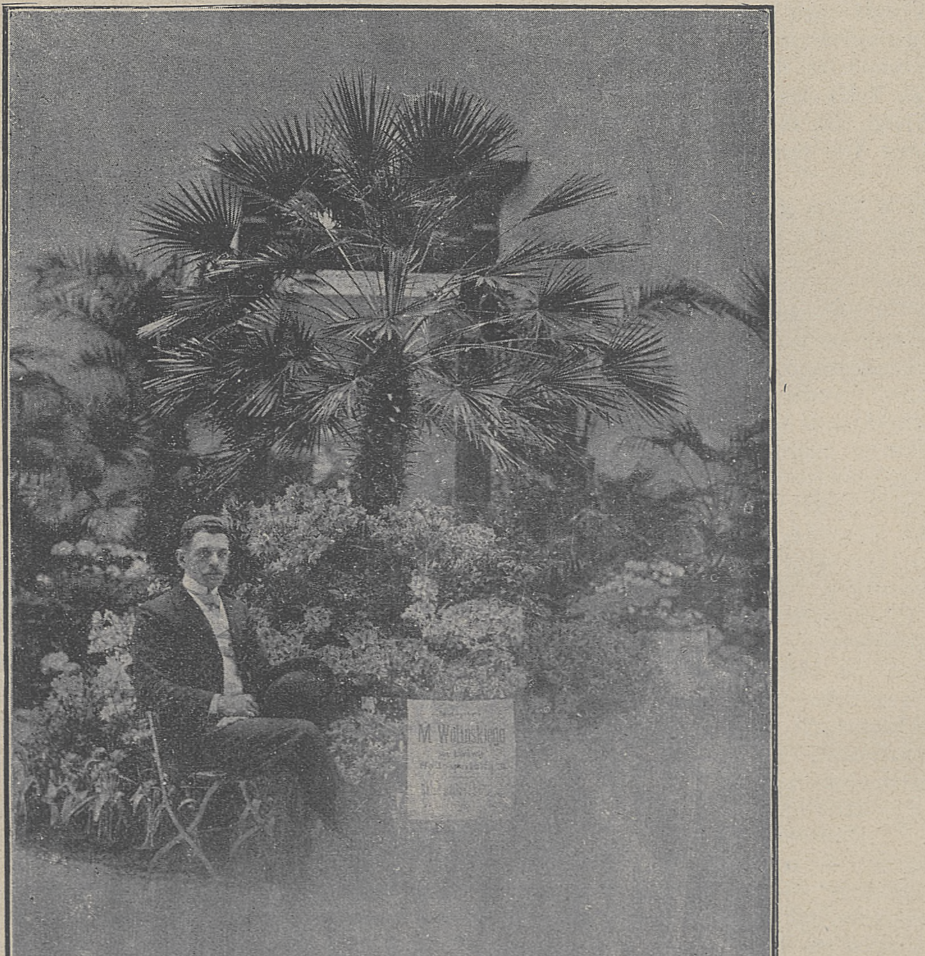
Aha! — myślę sobie — tom was wziął! Ano, dziękowania.. tego... zapewnienia, że wybierali się do nas oddawna... pozwolili odejść koniom... żona zaraz dała podwieczorek, herbatę... wszystko pięknie!

W taki sposób nawiązał się stosunek. Rozumiecie państwo, że mnie o ten stosunek tak bardzo nie chodziło; nikt mnie nie może posądzić o kłanianie się wielkim panom. Skoro się jednak tak złożyło, że ci panowie chcieli się do mnie zbliżyć — nie mogę przecie zamknąć im drzwi przed nosem.

Taki Śliwkiewicz, i taki Pętalski, i wielu innych — nie pojmują mego położenia, zazdroszczą mi — czy co!... i puszczają na mnie niesmaczne koncepty: „Szuka — powiadają— panów; gra w pańskie dudy..."

Nie potrzebuję się tłumaczyć.

Każdy rozumny człowiek, który mię zna — wie doskonale o tem, że nie jestem arystokratą i arystokratów nie lubię, że jestem... jakby to powiedzieć?... poprostu jestem sobie zwyczajnie umiarkowanych poglądów.



Z WYSTAWY WIOSENNEJ: Grupa M. Wolińskiego: „Azaela mollis".

Kazimierz Gliński.

DO KOBIET!

Każą mi o was śpiewać?... Do licha! —
Wychwalać może wasze zalety?
Po sercu głaskać? w rym brzękać z cicha?
Stawać na wyścig do mety?
Sofoklesowe zabrzmi: niestety!
Choć mi się gwałtem rym na rym wpycha,
I wciąż się plącze imię kobiety,
Jak męt na spodzie kielicha.

Omyłka zaszła w „księdze rodzaju" —
Snać, że kronikarz w pracy się śpieszył:
Wpierw — nim człek stanął w edeńskim gaju —
Bóg z dzieła swego się cieszył.
Gdy ziemię pierwszy brzask słońca przeszył,
Gdy zaszumiały fale ruczaju:
Bóg z twórczej myśli siebie rozgrzeszył,
Tak pięknie było w tym raju!

Wiły się złote u drzew powoje,
Nie przepalone wichrem jesieni —
Pogodnie, cicho płynęły zdroje
Pośród soczystej zieleni.
Czasem się szybsza fala zpierścieni,
Zadrży — i lekko pęknie na dwoje;
Złoty się motyl w słońcu promieni,
Kwiaty rozwiną zawoje.

Szumiały pieśnią gaje cieniste,
Ziół zapachami wiały ogrody,
Patrzało niebo srebrne, przejrzyste
Uśmiechem wiecznej pogody.
Z nad źródeł biły ożywcze chłody,
Rozkoszą tchnęły poranki mgliste —
A jakie wschody były, zachody,
A jakie noce gwiaździste!

Życie — bez westchnień drgało na okół,
Szczęście — bez pragnień śnieżyło kwiatem,
Rozkosz — bez szału wiała nad światem,
Co się pierścieniem tęcz okuł.
W morzu błękitów pławił się sokół,
Czując się jasnych przestwórz magnatem,
I żaden, z czynów okrutnych, na tym
Świecie nie ciężył protokół.

Samego Stwórcy zadrży powieka,
Gdy piękno swego dzieła pochłania —
W dolinę świata schodzi zdaleka
Na parę godzin dumania.
Lecz sam spoczywa wśród róż posłania,
Nikt Go nie żegna i nikt nie czeka! —
Żądny podziwu i ukochania,
Pierwszego tworzy człowieka.

Zaledwie ludzkie serce westchnęło
Nowego życia słodkim szelestem —
Z ust Adamowych słowo spłynęło:
„Więc jestem! — sam jeden jestem!"
Pan nie dał skardze zabrzmieć protestem,
Słowo pożądań wnet ciało wzięło:
Kobiecie nadał rząd nad jestestwem..
I popsuł własne swe dzieło.

Odtąd objęły pęta niewoli
Lasy i kwiaty, trawy i darnie —
Skarży się sokół, że go pierś boli,
Że ginie samotny marnie.
Gołąb' — pożądań znosi męczarnie,
Śnieżną skroń lilii płomień okoli,
Dąb piersią pada na pierś topoli,
Do róży motyl się garnie.

Choć na niebiosach skrzy się glob złoty:
Mgła smutku czoła ludzkie okrywa;
Śmieją się echa — a duch tęsknoty
Milczenie lasów przyzywa.
Trwoży się serce, drży, jak cięciwa,
Gdy z jej wyprężni spłynął strzał groty —
Gwiazdy praw stałych kruszą ogniwa,
W bezdrożne idą zawroty.

I błądzą, odtąd, na tym padole
Niewieścim czarem spętane duchy —
Czy mąż dorosły, czy to pachole,
Wydaje z siebie jęk głuchy.
Tego, łask danych, gnębią okruchy,
Zamiękko tulą pieszczot sobole —
Tego unoszą, jak liść, przez pole,
Gorące szału podmuchy.

Wstał demon buntu, przerwał zapory —
Dziś go pancerzem praw już nie okuj,
Ni o spokojnem jutrze prorokuj,
Gdy mu pierś gniecie dłoń zmory.
Zagasły blasków ciche kolory,
Wróconym wczasom życia nie rokuj! —
Błądzi gdzieś szczęście, spoczywa spokój —
Nie łudź się — to są upiory!...

Spocznij na ziemi zielonem łonie:
Coś drży, coś szumi, coś ogniem pali —
Przypatrz się ruchom srebrzystej fali,
Jak wzdycha, cierpi — i tonie!
Tuląc się w ciepłej kwiatów koronie,
Owad swe życie kładzie na szali —
Dotknij swej własnej piersi — żar płonie
I twoje lica korali!

Po przez spokojne dawniej obszary,
Gdzie była cisza, jak w greckim grobie —
Wiecznych pożądań snują się mary
I usta podają sobie.
Pożar ogarnia wszystko w tej dobie,
W płomieniach dumne stają filary —
Kto ognie owe, owe pożary
Na ziemskim zapalił globie?...

Kobiety! — ja was przeklinam tchnieniem
Żądz, których żadne nie zmrożą rzeki —
Kroplą krwi każdej skutej płomieniem,
Klnę każdem drgnięciem powieki!
Klnę myśli każdej śmielszem zachceniem,
Drgawką, co zdradza dreszcz ciała lekki —
Ja was przeklinam serca pragnieniem,
By miłość żyła na wieki!

Orla perć w Tatrach.

Wkrótce rozpocznie się gromadna wędrówka taterników pod stopy Giewontu. Rok w rok, gdy słońce przepala nam asfalt pod nogami, a w kłębach kurzu, w żarach kanikuły duszą się mieszkańcy miasta, kolej wywozi tłumy do tej cudownej, podhajskiej krainy, gdzie Bóg tak hojnie rozsypał wszystkie czary natury. Cudowny zakątek ziemi! Szczęśliwi ci, którym los pozwala pieścić się szumem rozhukanych potoków, szmerem roztopionego srebra siklawy, majestatem turni i fantastycznym strojem dolin tatrzańskich.

Więc wdzięczni mi będą niezawodnie taternicy za dobrą nowinę, którą dziś im niosę. Oto donosi „Przegląd zakopiański", że Wydział Towarzystwa tatrzańskiego zajmuje się obecnie projektem, którego wykonanie spotęguje czar i urok górskich wędrówek. Taternikom tłumaczyć chyba nie potrzebuję, że głównym celem turystyki jest widok ze szczytów. Nie będę im także wyjaśniał, że w obecnych stosunkach dwie części dnia wycieczkowego przypada na pięcie się na górę i na żmudne zejście w dolinę, a na korzystanie z widoku szczytowego pozostaje zaledwie jedna lub dwie godziny w ciągu mozolnej wyprawy. Obawa, aby wieczór nie nadszedł, zanim opuścimy drogę nad przepaściami, nie pozwala dłużej korzystać z pobytu na wirchach, a przytem zmęczenie fizyczne osłabia wrażliwość ludzką i nie pozwala taternikom, po przebyciu drogi uciążliwej na wyżyny górskie, odczuwać całego majestatu roztaczających się wokół krajobrazów. Dodajmy do tego, że szczyty zasnuwają się zazwyczaj mgłami około południa, to jest w chwili, gdy turysta zbliża się do celu upragnionego, a zrozumiemy, że niedogodności te mogą działać zniechęcająco na publiczność, uprawiającą górskie wycieczki.

Gdyby tak można iść od rana do nocy po samych wirchach i mieć ciągle widok szczytowy! To westchnienie słyszałem nieraz podczas wycieczek tatrzańskich, i oto dzisiaj z radością donoszę, że ma rzenie taterników spełni się może niebawem.

Twórcą projektu jest Franciszek Nowicki, autor przepysznych sonetów tatrzańskich. Przypominacie sobie może, jak on wita Tatry, gdy jego wózek góralski, minąwszy Nowy Targ, zbliża się ku granitowym olbrzymom:

W dali, jako ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków,
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków, —
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy.
Wielki, jak sny młodości, mroźny kraj śniegowy,
Gdzie król burz, halny orkan, mieszka w świecie [mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w niebiosach ma tron gra- [nitowy!

Otóż autor tych strof prześlicznych wpadł na pomysł urządzenia szlaku wycieczkowego, któryby, oszczędzając turystom trudu wspinania się na wirchy i schodzenia w dolinę, wiódł ich grzbietem Tatr w ciągu trzech dni przez wszystkie najpiękniejsze szczyty w przeciętnej wysokości 2.000 metrów. Szlak ten połączyć ma Roztokę, grań Wołoszczyzny, Krzyżnę, Buczynowe, grań Kozich wirchów, Zawrat, Świnnicę, dalej granic Liljowego Beskidu i Czerwonych wirchów, zkąd zejście do Kościeliska. Droga projektowana prowadzić ma zatem wpoprzek polskich Tatr, przez takie wyżyny, z których każda przy dzisiejszych urządzeniach wymaga osobnej wycieczki, nie mając związku z drugą i narażając turystę na mozolne wspinanie się i schodzenie w dolinę.

„Budowa tej wysokiej, podobłocznej ścieżki — czytamy w „Przeglądzie zakopiańskim" — wymagałaby znaczniejszych kosztów, jak np. dwóch schronisk noclegowych na Krzyżnem i Liljowem, dalej kosztownych urządzeń łańcuchowych i klamrowych w dwóch dziś niedostępnych miejscach, w Buczynowej i w „Pościeli Jasińskiego". Mimo to jednak droga taka otworzyłaby dopiero naprawdę Tatry polskie dla ogółu turystów, a dzięki niezwykłej a ciągłej wspaniałości widoków mogłaby się stać perłą wycieczek tatrzańskich, ściągającą nadto tłumy podróżnych zagranicznych. Łańcuch naszej części Tatr nadaje się do urządzenia takiej ścieżki szczytowej, czego dotąd nigdzie w żadnych górach nie ma jeszcze, a tem bardziej po stronie węgierskiej Tatr. I z tego zatem względu poszedłby rozgłos dla gór polskich poza krajem, a u nas otwarcie takiej nowej dziedziny turystycznej podniosłoby na nowo słabnący już zapał dla gór, dla taternictwa i zwróciłoby nowych taterników, szukających wrażeń w węgierskich Garłuchach, Basztach, Kołowych itd., w zaniedbaną już dziś stronę, a równie wspaniałą Tatr polskich."

Tak, jest to istotnie pomysł świetny i nietylko dla taterników, lecz i dla rozwoju Zakopanego doniosły. Nowicki wspólnie z ks. Gadowskim ofiarowali nawet usługi swoje dla wytrasowania jeszcze w roku bieżącym tej prawdziwie „Orlej perci"; niestety jednak wydział Towarzystwa tatrzańskiego nie ma podobno środków na wykonanie projektu i dlatego prawdopodobnem jest, że na razie przynajmniej urzeczywistnienia pięknej myśli zaniecha. Ale przecież poza wydziałem Towarzystwa są miłośnicy gór, jest potężny zastęp taterników i zamożnych entuzyastów Zakopanego. Czyż i oni dla zbudowania drogi szczytowej odmówią pomocy? Wieść niesie, że w Galicyi rozpoczęła się już agitacya dla umożliwienia wydziałowi wykonania projektu Nowickiego. Miejmy nadzieję, że wyda ona pożądane owoce.

Stanisław Ździarski.

Życiorysy sławnych Polaków.

Nr. 1. *Henryk Merczynk.* Mikołaj Kopernik, życie i działalność naukowa. — Nr. 2. *Stanisław Tarnowski.* Adam Mickiewicz, życie i dzieła — Nr. 3. *Piotr Chmielowski.* Józef Korzeniowski, jego życie i działalność literacka — Nr. 4. *Tenże.* Zygmunt Kaczkowski, jego życie i działalność naukowa. — Nr. 5. *Witold Nowodworski.* Jan Zamojski, jego życie i działalność polityczna. — Nr. 6. *Leon Świeżawski.* Jan Śniadecki, jego życie i działalność naukowa. — Nr. 7. *Ferdynand Hösick.* Fryderyk Chopin, zarys biograficzny. — Nr. 9. *Piotr Chmielowski.* Klementyna z Tańskich Hofmanowa, zarys biograficzno-pedagogiczny. — Nr. 10. *Tenże.* Tadeusz Czacki, jego życie i działalność wychowawcza, zarys biograficzny. — Nr 11. *Henryk Wernic.* Stanisław Konarski, jego życie i działalność wychowawcza, zarys biograficzny. — Nr. 12. *Władysław Nehring.* Jan Kochanowski, jego życie i dzieła, zarys biograficzny. — Nr. 13. *Leon Świerzawski.* Jędrzej Śniadecki, jego żywot, naukowe i społeczne stanowisko. — Nr. 14. *Fr. Rawita-Gawroński.* Michał Czaykowski (Sadykpasza), jego życie, działalność wojskowa i literacka, zarys biograficzny. — Nr. 15. *Mikołaj Mazanowski* Józef Bohdan Zaleski, życie i dzieła, zarys biograficzny. — Petersburg (Grendyszyński), 1899—1900.

Nader pomyślny zwrot zaznaczył się w naszym ruchu wydawniczym w ostatniem trzechleciu: powstały trzy wydawnictwa, na obszerną zakreślone miarę — „Czytelni Polskiej" w Krakowie, które jednak, jako nieistniejące, już z tej cyfry odliczyć należy, „Biblioteki dzieł wyborowych" w Warszawie, „Wiedzy i Życia" we Lwowie i nakoniec „Życiorysów sławnych Polaków". To ostatnie wydawnictwo podjął w Petersburgu p. Kazimierz Grendyszyński, a przystąpił do niego ze zrozumieniem

ważności zadania; postarał się przedewszystkiem o prace oryginalne i tylko w razie konieczności, kiedy nikt nie chciał podjąć się napisania danego życiorysu, posługiwał się przedrukami, ale przedrukami rozpraw prawdziwie wartościowych i cennych. Ma więc p. Grendyszyński zasługę w tym względzie, że pobudził wielu autorów do pracy i że przedsiębiorstwo swoje we wzorowy poprowadził sposób, nie wdając się w niesumienną spekulacyę. Na wzór Hachettowskich *Les grands écrivains français* postanowił wydać szereg portretów naszych wielkich wodzów, poetów, pedagogów, artystów i t. d., stąd — nazwa wydawnictwa: „Życiorysy sławnych Polaków“. Dla kogo jednak to wydawnictwo jest przeznaczone i jakiego rodzaju są prace, w niem zawarte? Czy jest to rzecz popularna w najszerszem tego słowa znaczeniu, przystępna dla każdego, czy może rzecz ściśle naukowa? O wydawnictwie popularnem dla szerokich warstw czytelników nie można tutaj mówić; takich zresztą edycyi, biblioteczek mamy już dość; brak nam było atoli wydawnictwa naukowego, któreby jednak było przystępne zarówno treścią swoją, jak i ceną, dla szerokich warstw *inteligentnych*, dziełek naukowych sumujących w sobie wyniki współczesnej wiedzy i badań nad poszczególnemi znakomitościami narodowemi. Otóż wydawnictwa popularno-naukowego dla inteligencyi dotąd jeszcze nie widzieliśmy w takim właśnie zakresie, jaki wyznaczony jest dla „Życiorysów“.

Ukazało się dotąd tomików szesnaście; z nich jedynie cztery są przedrukami prac, dawniej ogłoszonych, reszta okazała się po raz pierwszy na specyalne zamówienie księgarza. Do przedruków należą prace prof. Chmielowskiego o Hofmanowej, Czackim, Korzeniowskim i Kaczkowskim.

W stosunku do nader niskiej ceny każdego tomiku (30 kop.) musiały i rozprawy być zredukowane do małej objętości, wynoszącej 6—8 arkuszy bitego druku w małej 8°. Celem zaś każdego tomiku było przedstawienie życia, twórczości, czy to literackiej, czy artystycznej, czy jakiej innej, zasług i znaczenia tego czy innego męża w dziejach, historyi literatury, rozwoju umysłowego czy cywilizacyi narodowej. A to wszystko miało być wynikiem rezultatów, do jakich nauka nasza dotąd doszła, czyli innemi słowy — celem wydawnictwa było popularne skreślenie biografii poszczególnych ludzi na podstawie naukowej. Trudno nam tutaj wobec tego, iż szczupłe ramy nakreślone zostały dla tej oceny, rozstrząsać szczegółowo każdy tomik, wytykać jego błędy, boć błędy wszędzie być muszą. To tedy niech nas tłumaczy, dlaczego recenzye pojedyńczych prac są tak krótkie i nie wyczerpujące.

Świetną pracą jest rozprawa prof. Tarnowskiego o Mickiewiczu, wydana jeszcze z początkiem 1898 roku. W roku tym pojawiło się całe mnóstwo rozpraw i dziełek mniejszej objętości o mistrzu pieśni polskiej, którego urodzin setną obchodzono rocznicę. Dziełek takich, popularnie napisanych, wyszło, rachując zgrubsza, około 50. Jeśli się atoli wśród nich rozpatrzymy, bezwątpienia palmę pierwszeństwa będziemy musieli przyznać tej właśnie rozprawie prof. Tarnowskiego. Znajdujemy wprawdzie na samym wstępie tego życiorysu oświadczenie autora, że ta praca nie jest taką, jakąby być powinna, a mimo to przecież po przeczytaniu jej dochodzimy do przekonania, iż lepszego życiorysu popularnego



Z WYSTAWY WIOSENNEJ:
Grupa F. W. Starcka i Synów: „Azalea indica“, w głębi róże i dwa „Prunus triloba“.

Mickiewicza dotąd nie mieliśmy, że takiej charakterystyki znaczenia wieszcza dla narodu nam nikt nie dał, nikt tak nie objaśnił zasad, które arcymistrz dla wszystkich pokoleń zostawił w testamencie; tak wzniośle, tak pięknie i tak prawdziwie nikt nam nie wytłómaczył idei poety, która świeciła mu w całem życiu wtedy nawet, gdy błądził w mgle mrocznej nauki Towiańskiego.

Drugą wyborną rozprawą jest praca profesora wrocławskiego, Wł. Nehringa, o Kochanowskim. Że nikt inny nie był więcej powołanym do skreślenia biografii największego poety polskiego XVI stulecia, który aż do zabłyśnięcia geniuszu Mickiewicza niepodzielnie przez trzy wieki na Parnasie polskim panował, to chyba każdy przyzna, jeśli zważy, iż autor nie od krótkiego czasu pracuje nad Kochanowskim, iż dwie świetne rozprawy o „Trenach“ i „Odprawie posłów greckich“ piętnaście lat temu z górą wyszły z pod jego pióra. Materyałów zaś do wyczerpującej charakterystyki Jana z Czarnolasu, jako człowieka i jako poety, nazbierało się już dość wiele, bo cała falanga uczonych (Brückner, Tarnowski, Kallenbach, Kryński, Plenkiewicz) sporo pracy wyłożyła na badanie poszczególnych momentów życia i twórczości. To też wybrać z tego całego materyału to, co rzeczywiście do jędrnej a zwięzłej biografii potrzebne było, a odrzucić rzeczy mniej ważne, nie było rzeczą łatwą. Naszem zdaniem, najwłaściwiej postąpił prof. Nehring, ująwszy życie Kochanowskiego w szczupłe ramy, bo ledwie dziesięć stron obejmujące; bardzo właściwe zajął stanowisko wobec miłości poety, nie przychylając się do opinii, bardzo dziś rozpowszechnionej, którą nawet ostatni biograf Kochanowskiego (Plenkiewicz) przyjmuje, t. j. nie przypisując treści wierszy poety, pisanych do Lidyi, znaczenia faktycznego, a jedynie uznając te wynurzenia miłosne za ćwiczenia poetyckie w guście rzymskich liryków i włoskich Petrarkistów. Daleko obszerniejszą część pracy swojej poświęcił (stron 60) autor rozbiorowi dzieł Kochanowskiego, kreśląc dokładną ich charakterystykę.

Za życiorys słynnego Sadyka-Paszy, Michała Czajkowskiego, wielka wdzięczność należy się p. Rawicie-Gawrońskiemu, dotąd bowiem zbyt mało prawdy o tym tak dziwnym, a tak utalentowanym człowieku wiedzieliśmy. Materyał, zawarty w pamiętnikach, a podany zazwyczaj przez osoby trzecie, był niejednokrotnie jednostronny: albo zbyt przychylnie oceniał działalność Czajkowskiego, albo też potępiał wszystkie jego kroki. Wobec zaś braku innych wiarygodnych źródeł trudno było dociec prawdy faktycznej. Udało się dopiero p. Gawrońskiemu odróżnić prawdę od fałszu na podstawie materyałów rękopiśmiennych, na których podstawie osnuł zarys biograficzny. Materyałami zaś tymi były następujące manuskrypty: pamiętnik o Sadyku Paszy, pisany przez osobę, bardzo blisko stojącą Czajkowskiego, resztki pamiętników majora Grochowalskiego, część korespondencyi jego z Ludwiką Śniadecką, jego listy do bankiera Alléon i list otwarty do Polaków po powrocie z Turcyi do Kijowa. Rzecz cała skreślona jest z widocznem zamiłowaniem przedmiotu i podaje częstokroć oprócz wielu faktów nowych sprostowania dawniejszych, np. rok urodzenia 1803, nie 1805, jak dotąd sądzono. Rozprawa osnuta jest na tle szerokiem i umiejętnie naszkicowanem. Autor zajął się więcej działalnością polityczną i wojskową Czajkowskiego, aniżeli powieściopisarską, którą zwięźle tylko szkicuje, patrzy zaś na fakta i ocenia je zupełnie bezstronnie.

(Dokończenie nastąpi).

Al. H.

Z dwóch wystaw wiedeńskich.

Nie przysłużył się p. Józef Mehoffer — krakowski artysta, (mamy tu p. Rudolfa, również portrecistę i pastelistę, tylko że obaj w przeciwnych obozach, bo tamten secesyonistą, a ten ostatni jeszcze w obozie konserwatywnym) — otóż nie przysłużył się p. Józef drowi

Krokiewiczowi, nadsyłając jego portret w całej postaci do salonu Secessyi, bo może przecież nie zasłużył model na tyle subjekcyi i wymyślań, jakich mu „in effigie“ (w literalnem słowa znaczeniu) przez dwa miesiące uszczypliwa i humorna publika wiedeńska nie skąpiła.

„Brutal“ było może najłagodniejszem sformułowaniem charakterystyki niewinnego pewnie eskulapa, bo insynuowano daleko potworniejsze właściwości i przymioty psychiczne, a drażliwsze osóbki z trwogą odwracały się „von diesem unheimlichen Menschen“.

Malarz może tryumfować, bo jakkolwiekbądź zwrócić musiał uwagę na swe dzieło sztuki — o to mu też chodziło — ale biedny doktór..., co on mu zawinił? czy on już nigdy nie ma ani chwili lucidi intervalli? czy nigdy szczęśliwa myśl, pobieżna choćby radość lub wesele nie przeleci po jej smutnej twarzy? czy nigdy mu się nie udało pacyenta wydrzeć nieochybnej śmierci?, czy on zawsze tylko jak ów ewangeliczny lew na puszczy krąży i szuka, „kogoby pożarł?“

Nie — tak być nie może i nie jest na pewne, gdyż inaczej zawód obrany nie mógłby go wyżywić, — no i niema człowieka, któregoby furye ani na chwilę nie opuściły, więc po co malarz takim go uwiecznił i dla kogo?

Ale daleko ciekawsze jeszcze pytanie kto kogo szukał, czy model malarza, czy malarz modelu, a choć nie znam stosunku osób interesowanych, daję 100 za 1, że malarz go sobie uprosił. bo upodobał w modelu.

Secessya bowiem tym razem w swej 10-ej wystawie, obesłanej wyłącznie przez swych członków, chciała się popisać, więc z góry rozdzielono role i wydano parol, a to, aby tuzinem portretów naturalnej wielkości, równych, pionowych rozmiarów, w jednakich stojących pozach o możliwie charakterystycznych wyrazach twarzy, to wszystko szeregiem ustawione, cisnąć w oczy zdumionej publiczności. Miał to być tak zwany „trik“ czyli „clou“ wystawy. Naturalnie wydelegowano do tego specyalnych artystów, ale rzecz nie całkiem dopisała, bo nie wszyscy wyrozumieli założenia i danego hasła, tak więc dekoracyjny ensembl nie dopisał tak, że o całą tę galeryę portretów najwybredniejszy znawca i najwytrawniejszy z krytyków Ryszard Muther mógł napiętnować jako „monstrum“. W tej galeryi zatem pani Luksch Makowsky dała portret jakiejś obłąkanej czy błędnookiej damy, ale przytem jakoś skulonej, więc już harmonię psującej, dalej portret męski a patologicznej konfiguracyi głowy pana Mehofera, powyższego doktora, który wszystkich straszy, Andri portret rzeźbiarza Schimkowitza w pozie nonszalanskiej wiedeńskiego fiakra z fajeczką w jednej ręce a drugą w kieszeni, o nogawicach tak zamaszyście sfałdowanych, jakby przykrywały parę szczudeł (może to symbole genialności), Engelhard portret „wagabundy o żółtozielonych zębach, Knirr portret fechtmistrza Magnaniego o twarzy kościotrupiej: — więc modele musiały być „a tout prix“ niezwykłe i charakterystyczne, a właśnie czytam w „Czasie“ że p. dr. Krokiewicz jest postacią charakterystyczną w Krakowie (ztamtąd mam nazwisko doktora, gdyż katalog go zamilcza) i że portret jego zrobił tu senzacyę, ale chyba że w sensie tu wyż wymienionym, bo o innej nie słyszałem. Co atoli na pewne senzacyę wywołało, to inny polski obraz ale w „Künstlerhauzie“ a to portret własny p. Krzesza, bezsprzecznie dominujący na całej wystawie, tego roku nadzwyczaj zresztą lichej. Jeżeli który obraz, to tylko ten zasłużył na wielki medal, a nie mały, który mu przyznano.

Ale czy „jury“, która przypuściła setki jarmarcznych bohomazów do salonów tego niegdyś tak wybrednego „Künstlerhauzu“ zasługuje, by ją traktować na seryo? Wszak doprowadziła do tego, że ten przybytek sztuki, dziś publicznie i to nie byle jacy, budą jarmarczną, lub hurtownym składem szkiców zowią! Ten portret i „Ojcze nasz“ Krzesza — to dwie jedynie, nietylko uwagi, ale najwyższego uznania godne rzeczy z całej wystawy; ma więc szczęście artysta, że go tam przyjęto!

Wyróżnia się jeszcze p. Olga Boznańska swem studyum jakiejś wynędzniałej, schorowanej dziewczynki w zielonym płaszczu ubogich, ale tylko cena postawioną: 12000 koron!, mówię dwanaście tysięcy koron! Nikt nie kupił, ale to pewnie tylko dlatego, że w ogóle nie było wielu amatorów, bo na bezmała 700 wystawionych rzeczy kupiono ledwie sztuk 70 (z tego sam cesarz sztuk 12), więc 10%. Na tem dość, bo musimy jeszcze na chwilę wrócić do secessyi.

Kraków cały stoi pod znakiem secessyi, gdyż siedmioma reprentowany jest w niej członkami i zarazem wystawcami, a nawet Krakowianie otwierają wystawę, bo Biegas i Aksentowicz idą po sobie jako n-ra 1 i 2, a jest wszystkich tylko 209, czyli odliczywszy przedmioty artystycznego przemysłu i reprodukcye — pozostaje dzieł pędzla i dłuta 150, z których sprzedano sztuk 38! czyli 25%.

Bertold Menkes.

„Wesele“

...dzwon wschodził —
zawisnął u szczytów
i z wyżyn się rozdzwonił:
głos leciał, polatał,
kołysał się górnie,
wysoko podchmurnie —
a tłum się wielki pokłonił...

Wyspiański.

Weselej zaczyna być na niwie naszej twórczości dramatycznej — —

Dotąd zewsząd słychać było głos rozpaczliwie pesymistyczny: my dramatu wcale nie mieliśmy, ni mamy... I dużo było w tem słuszności. Bo to, co twórczość polska na tem polu zdziałała, przypominało niemal zawsze te cieplarniane, sztuczne, nie oryginalne, lecz przeszczepione i skądinąd wzorowane płody.

Aż teraz, mimo iż dotąd arcydzieła dramatu nie mamy, zaprzeczyć temu możemy: czujemy wszyscy, iż z Wyspiańskim
dzwon wschodził —
zawisa u szczytów!

Boć „Warszawianka“, „Klątwa“, „Legion“ — to nie sztuki, odtworzone na danych wzorach, ale twory, wywołane wewnętrzną, samodzielną mocą tworzenia, znamionującą oryginalny, żywiołowej niemal siły dramat.

Z tego punktu widzenia i „Wesele“ winno być pozornie uważanem za dalszy etap w tej ewolucyi twórczej Wyspiańskiego.

Powiadam „pozornie“, bo tak w rzeczywistości nie jest. „Wesele“ nie jest dramatem o ścisłym, jednostkowym temacie, lecz epopeją w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, epopeją udramatyzowaną, epopeją z ducha, a dyalogiem dramatycznym z formy.

I to jest zdaniem mojem, najistotniejszem znamieniem „Wesela“, które je wynosi ponad wartość przeciętną dramatu, choćby i najgenialniejszego, które mu daje cechę i wartość wielkiego, nieobliczalnego w swem znaczeniu czynu kulturalnego. Takim czynem był w pierwszej połowie ubiegłego wieku „Pan Tadeusz“; jest nim w chwili obecnej „Wesele“ *). Tak jak epopeja Mickiewicza, tak i „Wesele“ jest, aby użyć najtrafniejszego określenia samego autora, „przeglądem Duszy Narodu“.

W tych trzech słowach mieści się znaczenie „Wesela“, jego doniosłość kulturalna. Nikt w tegoczesności nie zdołały z taką przenikliwością wglądnąć w Duszę Polski, w tę zbiorową, z tak różnorodnych pierwiastków złożoną Duszę! Boć na to trzeba odległości wiekowej, aby krytycyzm mógł się na słusznej oprzeć podstawie. I to właśnie jest cechą genialności Wyspiańskiego. Żyjąc w społeczeństwie tegoczesnem, potrafił się ponad nie wynieść i je skrytykować. Zapytał się

„Czy my mamy prawo do czego?!
Czy my mamy jakie prawo żyć...
My motyle i świerszcze w niewoli,
puchnąć poczniemy i tyć
z trucizny, którą nas leczą“.

Aby na takie pytanie odpowiedzieć, trzeba sobie przedstawić, uświadomić istotny stan rzeczy. A takiem przedstawieniem istotnego stanu rzeczy, przedstawieniem z epicką szerokością dokonanem, jest właśnie „Wesele“.

A odpowiedź na samo pytanie?. Tej Wyspiański nie daje: każdy jednak widz lub czytelnik łatwo ją wydedukuje z „Wesela“...

Tak więc pojmuję tworzywo Wyspiańskiego nie tyle jako dzieło sztuki ale jako czyn śmiały, kulturalny, wzniosły, jako jeden z czynników, na którym oprzeć się może wychowanie narodowe pokolenia. Bo jako dzieło samej sztuki „Wesele“ nie da się pomyśleć, ono jest czemś więcej, niż twór literacki, jest poza sztuką, kpi ze sztuki, niszczy sztukę, a inne drogi i cele głosi. W usta „Poety“, tego reprezentanta samej sztuki, jako takiej, („samej“ — bo sobie wystarczającej, a pozbawionej podłoża narodowego) wkłada Wyspiański doniosłego znaczenia słowa:

„Oszaleć — bo wszędy czuję
ten ustrój poetyczności
i wszystko we mnie tańcuje:
mgły i smutek i podłości —
i na skrzydłach mi cięży
ciężar, jakby cudzych łez:
ktoś płacze
i łzy się do mojej duszy
czepiły — skrzydeł nie ruszy
mój Duch, bo spętany
słyszałem, jakby gdzieś nad nami
w górze, czy u stropów, czy chmur
ktoś rzewnemi płakał łzami...

*) Nie chcę, zestawiając te dwa dzieła, temsamem ich porównywać; zaznaczam tylko ich znaczenie.

I wtedy przychodzi do poznania, że

„jest jakaś ręka święta
i jest dłoń inna przeklęta;
jest Szczęście, co się ze mną mija
i Nieszczęście, które mię tuli...“

A więc nie w ciasnych granicach „ustroju poetyczności“, ale „Szczęścia i Nieszczęścia“ narodowego, winna się obracać myśl, bić serce, a pławić dusza.

Wobec tak pojętego tematu stajemy z zgoła innemi uczuciami, jak wobec dzieł sztuki“: tu nie mierzymy łokciem, tu nie krytykujemy poszczególnych usterek, choćby i wad, formy, akcyi itd. Tu w skupieniu słuchamy opisu stanu istotnego kultury polskiej, słuchamy prawdy, głosu Ducha, który ją nam, gdyby z kazalnicy głosi

* * *

Tak pojmuję „Wesele“. Jest ono dla mnie najdonioślejszym w swem znaczeniu czynem kulturalnym na jaki się Polacy zdobyli w ostatnich czasach.

Wobec tego, jakże tu pisać krytykę literacką? Wcale się o to nie kuszę. Aby z tej strony sumiennie ocenić „Wesele“, nie starczyłoby mi miejsca. Na to zresztą trzebaby czasu, a przedewszystkiem ochłonięcia z pierwszego, tak dominującego, przepotężnego wrażenia.

Nowe książki.

Leo Belmont. **„W wieku nerwowym“.** Powieść oryginalna w 2-ch częściach.

Autor wprowadza czytelnika w świat ludzi chorych nietylko na osłabienie woli i niewydajność, ale zarazem skazanych na męki piekielne z powodu odczuwania niezdatności do walki, z braku wiary w siebie i wytycznej idei w świecie. Student medycyny Jerzy spędzający wakacye w małem miasteczku, poznaje młodą dziewczynę, której ojciec — wielki uczony i człowiek najszlachetniejszy — wpadł w obłąkanie. Przed ośmnastoletniem dziewczęciem stanął przerażający obraz rozkładu potężnego ducha, zbydlęcenia wielkiego serca — i przed tym obrazem złamała się jej wola i rozpacz zamieszkała na zawsze w jej duszy. Pod wpływem uczucia, jakie w nim wzbudza melancholijne dziewczę, Jerzy pragnie uleczyć je z pesymizmu, pobudza się tem pragnieniem i deklamuje tyrady z dzieł wielkich wieszczów i myślicieli. Ale na tle cudów pięknego lata i marzeń ognistych powstająca miłość dwojga tych ludzi niknie szybko, jak powstała, na widok strasznej ruiny człowieka, jaką stał się ojciec nieszczęśliwej Cezaryny. Przed tym obrazem kruszy się w niwecz cała energia Jerzego, objawia się w nim dusza przetrawiona zwątpieniem i słabną napięte chwilowo nerwy. Gmach szczęścia rozpada się w gruzy. W epilogu — Jerzy, lekarz szpitala dla obłąkanych, spotyka po latach już nie Cezarynę, ale „siostrę Annę“, która już wie, że trzeba pomagać nieszczęśliwym i nie liczyć na własne szczęście...

* * *

Marya Konopnicka. „Italia“.

Jest to cykl poezyj, natchnionych pobytami w ziemi włoskiej: w Wenecyi, Rzymie, Neapolu, na Capri i w wielu małych mieścinach półwyspu Apenińskiego; a że we Włoszech dwie rzeczy głównie działają na wyobraźnię wędrowca-artysty: natura i sztuka, więc i te poezye dadzą się podzielić na dwie kategorye: na takie, które opiewają cuda przyrody południowej, cudne krajobrazy włoskie etc., i na takie, w których odbijają się wrażenia, doznane na widok różnych gmachów i dzieł sztuki, zarówno malarstwa, jak rzeźby. Którym przyznać wyższość? W każdym razie i jedne i drugie wplątają nowy liść lauru do wieńca sławy poetki, która w tym cyklu wznosi się często na takie wyżyny artyzmu, że się w nim prawie nie czuje pióra... kobiecego. A nie o wszystkich utworach M. Konopnickiej powiedzieć to można... Pod względem zewnętrznym przedstawia się tomik ten bardzo wykwintnie.

* * *

Władysław Bukowiński. (Selim). Nowy zeszyt. **Poezye.**

Już w pierwszym zbiorku poezyi p. Bukowińskiego wyraźnie zarysowała się jego indywidualność, jako poety uczuciowego, usposobionego do marzeń i wsłuchanego w echa naszej wielkiej poezyi romantycznej. Formą pokrewny Asnykowi i używający często jego wersyfikacyi misternej, w wysłowieniu prosty, szczery, zawsze melodyjny, wdzięczny i poprawny — p. Bukowiński nowych dróg nie szuka, nie goni za efektem, za rymem niecodziennym.

W pieśni jego wypowiada się bezpośrednio dusza, wrażliwa na piękno przyrody, serce kochające i umysł, obejmujący refleksyjnie szerokie widnokręgi świata ideowego.

Smutek i melancholia poety, przebijające się tu i ówdzie, nie są ściśle osobiste, ale płyną ze źródeł głębszych i wskutek tego łatwy znajdują oddźwięk.

Taka jest ogólna charakterystyka Selima.

„Nowy zeszyt“, wydany wykwintnie i ozdobnie, zawiera kilkadziesiąt utworów lirycznych, które w dorobku literackim autora nie są atutem, ale też nie cofają go z drogi raz obranej.

Posłannictwo i zadanie swoje p. Bukowiński rozumie dobrze. Oto w jednym z wierszy czytamy: „Niech jak lodowce będą te tłumy, co szyderstw nie szczędzą nam! Jak pelikany, krwawiąc swe łono, rozgrzać je musim pieśnią natchnioną! Starłszy to piętno szyderczej dumy, wzrok ich ku jasnej skierujem sferze, z serc wyrwiem wielkie „kocham i wierzę“, oszczerstwu zadamy kłam!“

Takiej działalności tylko przyklasnąć można i szkoda, że p. Bukowiński posiada zamało sił do szerszego lotu, zamało ognia w żyłach, zamało temperamentu bojowego, aby mógł tworzyć rzeczy większe i trwalsze. Dziś brak mu warunków do tego, ale nie wątpimy, że talent jego dojrzeje, wzmocni się i rozwinie, a miłość i wiara zabrzmią na strunach jego liry dźwiękiem pełnym i męskim. Życzymy tego sympatycznemu poecie z serca i oczekujemy tych zmian dodatnich od trzeciego tomu jego poezyi.

Z Akademii umiejętności w Krakowie.

Na posiedzeniu komisyi historyi sztuki w krakowskiej Akademii umiejętności przewodniczący poświęcił kilka gorących słów zmarłemu członkowi komisyi, śp. Wojciechowi Gersonowi; poczem sekretarz odczytał sprawozdanie z posiedzeń lwowskiego grona komisyi z d. 1 i 17 grudnia r. z., która obradowała nad wydaniem źródeł i zabytkami głównie Lwowa i Przeworska. Przewodniczący przedstawił rysunki i opis p. Mokłowskiego cerkwi Ławry w Ławrowie, a następnie wyniki badań prof. Abrahama nad rękopisem gertrudyańskim, znajdującym się w muzeum królewskiem w Cividale, i ze swej strony dodał, że kodeks gertrudyański został opisany i zdeterminowany przez Eitelbergera w jego pracy o Cividale w r. 1859. Uczony ten odnosi go do końca X wieku, co się w zupełności zgadza z wywodami prof. Abrahama, które są oparte na pięciu doklejonych do niego miniaturach bizantyjskich. Prof. Sokołowski sądzi, że w zasadniczych zarysach wywody te, tak dla nas interesujące, dają rezultaty, niezawodnie pewne, ale że w szczegółach zależne być muszą od zbadania bliższego samego kodeksu. Ten ostatni zajmuje żywo naukę w Niemczech. Towarzystwo naukowe w Trewirze postanowiło go wydać w reprodukcyach kolorowych na podstawie fotografji, wykonanych przez fotografa w Wiedniu, który je zdjął przed kilku laty. W końcu p. Z. Hendel przedstawił swoje najnowsze gruntowne studya architektoniczne nad zamkiem w Tęczynie, przedstawiające w dokładnych rysunkach rekonstrukcye tej rezydencyi magnackiej, opartą na śladach dotąd dochowanych. Odtworzył jego baszty gotyckie i całą wspaniałą a różnorodną architekturę renesansową z XVI wieku, pochodzącą widocznie z epoki restauracyi, przedsięwziętej roku 1570 przez Jana Tęczyńskiego, kasztelana wojnickiego. Budowa miała niegdyś piętno właściwe innym naszym, a dotąd dochowanym zabytkom Odrodzenia. Wśród fortyfikacyi przedstawiała się jako potężny i pełen malowniczości gmach, który, zdaniem współczesnych, jeden mógł rywalizować z zamkiem królewskim na Wawelu. Podwórze z trzech stron zdobiły arkady, na których pierwsze piętro prowadziły schody otwarte, przytykające do ściany krużganku kaplicy. Nadzwyczaj malowniczo działało zestawienie wielkich dachów budynku głównego z delikatnemi atykami skrzydeł i budowanych w XVI w. bastyonów. Atyki te tworzył motyw arkadek między pilastrami, nad któremi mieściły się lekkie woluty. Wogóle cały widok zamku, przez p. Hendla opracowany wiernie aż do szczegółów, gdzieniegdzie dla braku materyału uzupełniony w duchu Odrodzenia polskiego, daje nam materyał nowy i ważny do historyi renesansu w Polsce

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 20—52

Kantor wymiany

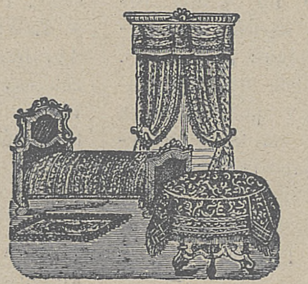
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 24—44

H. HUTTER i W. KANNER

Pierwszorzędny skład papieru, przyborów do pisania i rysowania

(en gros & en detail)

„pod złotem piórem“

w Przemyślu

plac na Bramie l. 6.

Największy wybór w kartach widokowych i artystycznych.

9—12

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2
28—52

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 19—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudn em i od 3—4½ popołudniu.

TUTKI

La Coronne, Dreyfus i Cartouche z prawdziwej bibułki francuskiej z watą

polecają

BRACIA PARNASS

Fabryka tutek i cygarniczek oraz wyrób cygarniczek

w BRODACH. 7—12

Główny skład rowerów angielskich

aparatów fotograficznych

i wszelkich przyborów.

Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożyczа się rowery.

Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.

Dziękuję za dotychczasowe względy.

Z szacunkiem

9—10 **Herman Gottlieb.**

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

29—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 30—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Wodociągi!

Pokoje kąpielowe, klozety, kanalizacye, oraz wszelkie urządzenia sanitarne, wykonuje ze zastosowaniem najnowszych ulepszeń pod fachowem kierownictwem autoryz. instal. W. Reklewskiego, inżyniera z Warszawy.

HENRYK EBER

LWÓW

ul. Mickiewicza l. 8., Tel. 669.

10—10

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.